

PŁOMYCZEK



PRZĄDKA BABIEGO LATA.

Panny Kapuścińskie.

Panny Sałacińskie miały się za coś lepszego.

Nosiły sute, żółtozielone suknie z kruchych i smacznych listków. Przebywały na początku swego życia w skrzynce za szkłem, a potem na zagonku za domem.

Panien Sałacińskich trzeba było od rana do nocy pilnować. Przed kurami ich się pilnowało. Strach, jak te kury lubiły napadać na panny Sałacińskie.

Gdy tylko niema nikogo w pobliżu, zaraz kogut wydaje swój wojenny okrzyk:

— Ku-ku-ry-kuuu!!!

Kury odpowiadają mu:

— Ko-ko-ko...

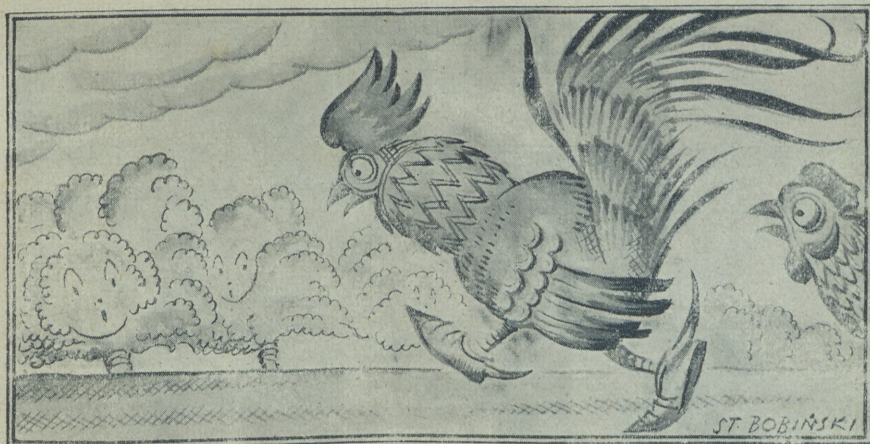
I cała ptasia gromada maszeruje prosto na zagonki.

Biedne panny Sałacińskie aż zółkną ze strachu!

To nie żarty taki kogut w czerwonej czapce, z ostrogami i jego kurza gromada uzbrojona w dzioby i pazury.

Łup! dziób! cup!

I z panien Sałacińskich strzępy!



PTASIA GROMADA MASZERUJE...

A z pannami Kapuścińskimi nie tak łatwo.

Panny Kapuścińskie nie są tak strojne, jak delikatne ich krewne, ale są wytrzymałe. Rosną też dalej od domu. Nawet nie w ogródku, a na polu. Byle co im nie zaszkodzi.

Od rana do nocy myślą o tem tylko, żeby utyc, żeby się aż zaokrąglić.

Chcą dogodzić swojej pani gospodyni, bo ona takie lubi. Oj, [oj,] bardzo takie lubi.

Przechodzi gospodyni [brózdą między rządami okrągłych i twardych główek kapuścianych i aż rękami plaska, aż głową chwieje:

— A to śliczne główki! A to mi się udały! Wspaniała kapusta!



— ŚLICZNE GŁÓWKI!

tylko gospodyni da nam piwnicę. Do lata przetrwamy. A co z nas ludzie będą mieli pożytku! Zobaczycie!

Pewnego dnia postanowiła gospodyni zabrać pod dach panny Kapuścińskie.

Zaprzągnął gospodarz parę koni do wozu. Pojechał w pole. Cały dzień go nie było.

Nad wieczorem z wielką paradą zwie-

Panny Sałacińskie dawno już przestały pysznić się swemi sukniami z kruchych, fryzowanych listków. Na zagonkach już i śladu po nich nie ma. A panny Kapuścińskie pełne zdrowia i urody.

— Jesień? To właśnie najlepsza dla nas pora — mówią. — Zresztą my się i zimy nie boimy. Niech



— W NAS KAPUSTĘ WŁOŻYĆ!

żli do chaty panny Kapuścińskie. Z dzie-
sięć kóp ich było.

Zaskrzypiała zaraz szatkownica:

— Szat - szat - szat!

Szatkować kapustę
na bigosy tłuste,
na smaczne pierogi,
kapuśniak niedrogi.
Szat - szat - szat...

szatkować!

Zadudniły zaraz do wtóru świeżo wy-
myte beczki i beczułki:

— W nas kapustę włożyć,
kminkiem ją przełożyć.
Długo się nie bawić,

w piwnicy postawić.
Będzie dobra do lata...

A miski i garnki nuż pobrzękiwać na stole, jakby już do smakowitego jedzenia wszystkich zapraszały:

— Czem chata bogata,
tem rada,
kto zechce, niech siada,
zajada.

Panny Kapuścińskie aż zachrobotwały z dumy i zadowolenia.



OBEJRZAŁA JE...

Jedna przez drugą potoczyły się do rąk gospodyni. Gospodyni obejrzała je uważnie i przebrała.

Te, co do kwaszenia — osobno. Te, co do gotowania na słodko — też osobno.

Kilka było jakichś nieurodnych, obmarźniętych po wierzchu. Ale i te się przydały.

Janek wziął te główki dla swoich króli.

To był bal! Króliki już dawno takiej sutej uczty nie miały.

Już ostatni listeczek schrumkały i jeszcze wąsikami ruszają, że to im tak smakuje!



TO BYŁ BAL!

— Chrum! chrum! chrum!
Czy też widzieliście,
jak nam smakowały
kapuściane liście?

Chrum! chrum! chrum!
Bardzo były smaczne!
Jak świeżych dostanę,
znów je chrupać zacznę.

Chrum!

I. Jeziorówna.

Przędka babiego lata.

Po dniach szarugi, która włóczyła się po polach i po ogrodzie, pluskąła za oknem cierpliwa i uprzykrzona, wyblęśły nagle, niewiadomo skąd, dni całe wykąpane w cichem słońcu, okryte czystem, szafirowem niebem. Można było z powrotem włożyć różową sukienkę w paski i biegać z gołą głową cały dzień po dworze.

Ojciec przyszedł z końmi na obiad i powiedział wesoło:

— No, mamy babie lato!

— O świętej Brygidzie babie lato przyjdzie — przytwierdziła matka. — Niewiele już tego ciepła będzie, ale zawsze...

Zaraz po obiedzie poszła matka przed drwalkę miedlic len. Basia chciała pomagać, odbierała od matki wymiędlone pasma, odgarniała paździerze, ale niewielka to była pomoc.

W powietrzu płynęły długie, białe nici. Niektóre żeglowały swobodnie długie, bez końca, jak ogon niewidzialnego latawca; inne były zwinięte w białe, miękkie, poplątane, jak puch, kłębuszki. Wieszaly się na płocie, czepiały się Basi warkoczków, maminej spódnicy i kaździutkiego badyła, wymachując wolnym końcem, jak batem w powietrzu.

Basia zbierała niteczki rozsnute dokoła i motała je uważnie na suchy badyłek lnu.

— Mamo, żeby też to można było z tego koszulkę utkać zamiast ze lnu!

— O! tego żadna przędka na ziemi nie potrafi.

— Na ziemi nie potrafi żadna, tylko na niebie — odezwał się za Basią drżący głos.

Basia się obejrzała. Stała za niemi, oparta na kosturku, stara Ułina, babka, co po proszonym chlebie chodziła.

Nosiła ona ze sobą zioła dziwnie pomocne w każdej chorobie i cuda różne opowiadać umiała.

— Jaka przędka na niebie? — spytała Basia nieśmiało.

— Jaka przędka? A Marja Panna na wrzecionku swoim niteczki najcieńsze przedzie i na ziemię posyła, żeby gospodyniom przypomnieć, że już czas o przedziwiewie pomyśleć tak, jak twoja mama, i sieroty przyodziać, bo idzie, idzie zła zima, nie pożartuje.

— I Matka Boska zdąży sama tyle naprząć?

— Ona ma pomocnice, przędki młode i piękne. Ale nie

każdą Matka Boska do swojej pomocy powoła. Musiała taka wprzód na ziemi wiele biedy przyodziać, dużo łez osuszyć i prząść umieć cieniuchno, zanim u boku Marji Panny do wrzeciona zasiadła.

Matka skończyła na dzisiaj len międlíč. Zebrały go z Basią i poniosły do komory. Ułina podreptała za nimi.

Basia, niosąc szare włókna, przyrzekała sobie pocichu, że się tej zimy musi nauczyć cieniutko prząść, chociaż to bardzo trudno...

M. Kownacka.

Nowiny jesienne.



— Powiedz, mości Muchomorze,
co tam słyhać u was w borze?

— Zaraz powiem, mości
panie.

Wczoraj było na polanie
wielkie grzybie tańcowanie:
Imci Maśluch tańczył gładko
z miłą panną Surojadką.

Rydz z Pieczarką poszedł
w tany,

a z Purchawką roz hulany
skakał Koźlak, aż filutka
śmiała się z nich

Koziabródka.

Tylko król, Borowik stary,
nie miał w tańcu żadnej pary
i dlatego żółta Kania
bardzo tańcom tym

przygania

i powiada do Sitarzy,
że to więcej się nie zdarzy.

Więc żółciutkie Kurki płaczą,
że się w tańcu nie wyskaczą,
a Gołąbki z tego smutku
jęły sinieć pomalutku...

E. S.

Skarb.

(Dokończenie)

Głośniejsze słówka wpadają przez otwarte drzwi do ciekawych uszek Tola...

„Koniecznie trzeba kopać”... „W polu pod lasem”... „Koło krzyża”... „Tam, gdzie dwa kamienie”... „Skoro świt”... „Przyszykować wozy”...

Dziwne jakieś słowa! Tolo coraz ciekawiej nadstawia uszek. — Czyżby?

Tolo słyszał kiedyś, jak jego starsza siostrzyczka, Marysia, czytała historję o zakopanych na wsi skarbach. To była straszna historja. Straszna i tajemnicza. Ale kończyła się dobrze. Biedny sierota wykopał skarb — wór złotych pieniędzy. Ho - ho! Nakupił sobie wszystkiego, czego zapragnął i jeszcze innym, biednym dał dużo, żeby mieli do końca życia dobrze.

Tolo później nieraz rozmawiał z Marysią, że dobrzeby było jaki skarb wykopać, ale w mieście nie było gdzie, bo skarb ukryty jest zawsze gdzieś na ustroniu, w lesie, pod krzyżem, pod kamieniem.

I teraz właśnie o tem mówią tam, w drugim pokoju. Mówią pocichu, żeby nikt nie słyszał i nie poszedł wcześniej odkopać skarb i zabrać.

Niech się nie boją, Tolo im skarbu nie zabierze, ale... ale... koniecznie chce zobaczyć, jak się taki skarb wykopuje. I jeszcze, że dobrym ludziom często przeszkadzają źli rozbójnicy, którzy też mają ochotę na skarb, więc Tolo mógłby w razie walki przydać się tam. Robbójników się nie boi. Owszem, chce się z nimi bić i zwyciężyć ich, i namówić potem, żeby się stali dobrymi, jak ten zbój Madej z babcinej bajki.

Tylko, jak to zrobić!?

Napewno starsi nie zechcą go zabrać ze sobą... Możliaby pójść z Bolem, ale Bol śpi i nie można się go dobudzić.

Tol myśli i myśli... Już wie... Dopilnuje, jak oni będą szli na tę wyprawę i wykradnie się pocichu za nimi.

Już nie zasypia, choć mu się oczy kleją. Trudno. Musi czuwać. Czuwa. Ażeby niechący nie zasnąć, szczypie się pod kółdrą w lewą piętę.

Tamci, co się umawiali na tę wyprawę, rozeszli się i teraz śpią. Wstaną „skoro świt”.

Tol czeka świtu.

Nareszcie! Rozwidnia się. Tol słyszy ciche szelesty i szepty. Rozwidniło się. Tol słyszy głosy za ścianą i stąpanie.

— Teraz czas!

Zrywa się z łóżeczka, ubiera z pośpiechem nie patrząc, co i jak kładzie. Chodzi przecież o to, żeby prędko! I wybiega na palcach z pokoju.

Tamci są już na drodze. Widzi ich. Naprzód idzie mamusia Bola i jakiś stary człowiek (to pewnie ten, co odkrył tajemnicę skarbu), a za nimi jeszcze czworo ludzi. Ci niosą błyszczące motyki do kopania i worki (pewnie na złoto).

Tol cicho, na palcach biegnie za nimi od krzaka do krzaka. A idą prędko. Śpieszą się bardzo. Tol nawet słyszy, jak stary człowiek nawołuje:

— Prędszej, prędszej, a to już słońce wschodzi!

Teraz mijają las... a teraz... tak, tu są te „dwa kamienie”. Ludzie stają rzędkiem, jeden obok drugiego, przeżegnali się, zamachnęli świecącymi motykami, kopią.

Tol, skryty za kamieniami, aż drży z wielkiej niecierpliwości, czy rozbójnicy nie przeszkodzą? Czy ludzie skarb znajdują?

Oho! już jeden coś znalazł: pochylił się, rękami w ziemię sięga, wyjmując coś... a teraz drugi... trzeci... czwarty... śmieją się radzi.

— Skarb znaleźli! Skarb!

Wszyscy naraz przestali kopać. Podnieśli głowy i patrzą zdziwieni na Tola. Ale Tol wie, co ma zrobić. Staje pośrodku i mówi uroczyście, tak jak mówił szlachetny przyjaciel sieroty w historyjce Marysi:

— Nie bójcie się!

I prosi, żeby mu tylko pozwolili zobaczyć ten skarb wykopany.

— Owszem — mówi mamusia Bola — zobacz.

I pokazuje mu kopczyk różowo przeświecających kulek oblepionych świeżą ziemią.

— Czy to są różowe djamenty? — pyta niepewnie Tol. A mamusia Bola mówi:

— To coś lepszego — ziemniaki.

Tol robi oczy tak samo okrągłe, jak te kulki.

— Ziem-nia-ki??? A ja... ja... myślałem, że ci ludzie kopią skarb!

I wstydzi się bardzo.

— Bo też to jest skarb prawdziwy — mówi mamusia Bola.

Bol, gdy się o tem dowiedział, śmiał się z Tola. Tol się obraził:

— U nas w mieście ziemniaków się nie kopie, tylko odrazu są w sklepie.

Ale potem zaraz się przeprosili i na obiad jedli zgodnie z jednego talerza te same, dzisiaj wykopane, ziemniaki.

Ewa Szelburg.

Chałupka, która dzieci chwytła.

Ojciec Janka wystawił nową chatę przy samej rzece. Stara chata została w wiosce.

Teraz, gdy mieszkali w nowej, Janek całe dni przesiedywał nad rzeką i bawił się rzucaniem do wody kamyków.

Raz, gdy tak bawił się nad wodą, zapytał sam siebie:

— Skąd też ta rzeka płynie?

I potem już ciągle o tem myślał. Nie dawało mu to spokoju.

Zebrał się więc pewnego ranka, wybiegł cichaczem z domu i poszedł przeciw prądowi rzeki. Wkrótce napotkał bór, bór taki gęsty, taki mroczny, że Janek nic przed sobą nie widział. Ale chłopca to nie przeraziło. Szedł naprzód i szedł poomacku, aż wydostał się na łąkę. A, że się już zmęczył, więc usiadł sobie pod drzewem, zwiesił głowę i zasnął.

Rano, gdy go boże słońko zbudziło, byłby zapewne pomyślał o powrocie, bo mu się tęskno zrobiło za rodzicami i siostrzyczką Zuzią — gdyby nie nowy dziw:

Przed nim, na łące stała pocieszna chałupka. Była niby taka, jak wszystkie wiejskie chałupeczki, lecz, zamiast okien, miała oczy, które teraz jeszcze spały, a zamiast drzwi, miała usta.

Pomyślcie tylko! I jeszcze miała dwie długie, cieniutkie rączki, teraz spokojnie złożone.



NA ŁĄCE STAŁA POCIESZNA CHAŁUPKA.

Wokół chałupki rósł sad pełen owoców.

Gdy się tak Janek z podziwem na chałupkę patrzy, ta — Boże mój — ze snu się budzi, rączkami oczy przeciera, ziewa, a potem do drzewa sięga i jabłka trzęsie. Strzęsione zaś zbiera, kładzie sobie do ust i haps! zjada.

Janek szczerze się z tego naśmiał, ale wkońcu i jemu taka chętka przyszła na owoce, że podszedł bliżej i zaczął otrzęsione jabłka zbierać. Aż tu nagle chałupka łaps!.. chwyciła go cieniutką rączką w pół — i przez swe drzwiczki-usta wrzuciła do środka.

W chałupce było ładnie: ściany чисто obielone, łóżko zaślane pierzyną kraciastą, poduch na niem osiem. Ława z kłody brzozonej, stół z pnia sosnowego, a na tym stole góra jabłek.

Bardzo się to wszystko Jankowi podobało, więc spokojnie, uśmiechnięty, wziął się zaraz do jedzenia.

Gdy się już i napatrzył, i nasycił, pomyślał o powrocie do domu. Aż tu dopiero bieda! Co wyjdzie z chałupki, to ta zaraz wyciąga ręce i łaps! Janka. Wyskakuje Janek prędko, pędzi co sił, ale zawsze go długie ręce chałupki pochwycą.

I biedny Janek, uwięziony w chałupce, pozostał.

— — — — —
A tymczasem w nowej chatce nad rzeką bardzo było smutno.

Już wiele dni minęło, a o Janku ani słychu. Co się nawyglądali, nawołali i napłakali! Szukał ojciec, szukała matka, szukała Zuzia — wszystko nadaremnie.

Aż raz, gdy Zuzia siedziała nad rzeką, ujrzała lecące górą dzikie gęsi. Wyciągnęła ku nim Zuzia rączki i zawołała:

— Gąski, miłe gąski, czy nie wiecie, gdzie przebywa nasz Janek? Gąski, białe gąski, czy nie wiecie, gdzie Janek za domem płacze?

Wówczas opadła na brzeg największa i najstarsza gęś i podeszła do Zuzi:

— Właśnie lecimy tam, gdzie jest Janek. Usiądź mi na grzbiecie, chwyć się piórek, a poniosę cię.

Uszczęśliwiona Zuzia poleciała na gęsi. Leciały nad polami, nad wodami, nad borem gęstym i nieskończonym, aż przyleciały na łąkę, gdzie stała cudaczna chałupka, która chwylała dzieci.

— W tej chacie jest twój Janek — powiedziała gęś. — Idź do niego. Jeśli chcesz Janka uratować, śpiewaj chałupce do snu. Wtedy chałupka będzie mocno spała, a przez ten czas Janek ucieknie.

Po tych słowach gęś powróciła do swego stada. Odleciały. Zuzia została sama.

Podeszła do chałupki. Wnet wyciągnęła się cieniutka rączka, chwyciła Zuzię wpół i hams! Już jest Zuzia w izbeczce.

Ach, jakże się Janek uradował, gdy ujrzał swą drogą siostrzyczkę w izbie dziwnej chałupki! Ugościł ją, jak mógł i czem chałupka dała, a potem usiedli w kąciku i rozmyślali nad tem, jakby tu z chałupki uciec?

Gdy nadeszła noc i gwiazdy już wyszły z poza gęstych chmur, by się popaść na niebieskiej łące — chałupka spokojnie zasnęła.

— Uciekajmy!

Wzięła Zuzia Janka za rączkę i chciała z nim wyjść. Lecz drzwi, gdy je otwierała, zaskrzypiały, chałupka się zbudziła, chwyciła natychmiast dzieci i tak silnie wrzuciła je zpowrotem, że aż biedactwa rozbiły się o ławę.

Wówczas Zuzia zrozumiała, że trzeba uczynić tak, jak kazała zrobić dzika gęś. Uratuje Janka. Sama zostanie tu i będzie chałupce śpiewała do snu, będzie śpiewała tak długo, póki Janek nie minie polanki i nie ucieknie daleko.

— Idź, idź, Janeczku. Uciekaj, nie zatrzymuj się. Ja tu chałupkę będę usypiała.



LECIAŁY NAD POLAMI...

Usiadła Zuzia na ziemi i zaczęła śpiewać:

— Chałupeczko, rączki złoż,
prawe, lewe oczko zmruż.
O jabłuszkach smacznych śnij,
aż do rana mocno śpij.

Wymknął się Janek. Zuzia śpiewa, śpiewa, a chałupka śpi, aż chrapie.

A wtem firr... drzwi się otwierają.

— Wróciłem. Nie chcę się ratować bez ciebie. Jeżeli nie możemy razem uciec, to już razem tu zostaniemy!

Ucałowali się, popłakali się, aż Zuzia mówi:

— E, płacz niewiele pomoże. Spróbujmy śpiewać na przemianę, aby nam sił starczyło — raz ty, raz ja. Może, gdy tak długo śpiewać będziemy, chałupkę uspiemy tak mocno, że się nieprędko obudzi.

I Zuzia zaczęła:

— Chałupeczko, rączki złoż,
prawe, lewe oczko zmruż.

A potem Janek:

— O jabłuszkach smacznych śnij,
aż do rana mocno śpij.

Śpiewali tak całą godzinę, aż chałupka zasnęła tak mocno, że nie tylko chrapała, ale nawet zaczęła przez sen mówić.

Dziwi się chałupka przez sen:

— Oooo... — i tak szeroko otwiera swe drzwi-usta, że Janek z Zuzią przez nie myk - myk! do lasu.

Idą polanką i śpiewają, śpiewają... Idą lasem i śpiewają, śpiewają... A chałupka wciąż śpi, śpi...

Obudziła się dopiero w tej chwili. Ale dzieci już są w swej nowej chacie nad rzeką, już Janek siedzi na kolanach tatusiowych, a Zuzia na mamusinyh i już opowiadają o czarodziejskiej chałupce.

Z bajki czeskiej

opracowała St. Zawadzka.

Kto pierwszy odgadnie?

S Z A R A D A.

Szukany wyraz oznacza twego towarzysza nauki. Wyraz ten składa się z trzech zgłosek. Pierwszą zgłoskę znajdziesz w ko-mo-rze, drugą ma każdy le-niuch, a trzecią ga-ze-ta. No, czy już odgadłeś?

ROZWIĄZANIA z № 4 i z № 5.

Łamigłówka:

A	R	M	A	T	A
J	A	B	Ł	K	O
K	O	M	O	D	A
P	A	R	K	A	N
S	T	O	Ł	E	K
K	A	R	T	K	A

Zagadka: Kosa.

Co to? Las.

Zagadki: 1. Latawiec.

2. Oczy.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyczek” miesięcznie 1 zł. — — za cały rok szkolny 9 zł.
 „Płomyczek” z „Płomykiem” miesięcznie 2 zł. — — „ „ „ „ 18 zł.
 „Płomyk” miesięcznie 1 zł. 50 gr. — „ „ „ „ 14 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,
 „Płomyczka” z „Płomykiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumeratę przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: W imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —
 JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — JANINA PORAZIŃSKA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.